

Wojciech Ovczarski: Schulz i sny¹

zасыпаніе,
чрапаніе,
шамотаніе
сіе в пощелі

W twórczości Brunona Schulza znaleźć można zadziwiająco wiele obrazów zasypiania, chrapania, szamotania się w „nakisłej od snu”² pościeli. Roi się tu wprost od żartobliwych opisów „wędrownki po niewiadomych wertepach snu” (s. 209). W mnożeniu metafor ukazujących „zawikłania sennych przygód i awantur” (s. 206) pomysłowość Schulza zdaje się niewyczerpana, choć jest to niemal zawsze sytuacja walki, zmagania się, kotłowaniny. Niezwykła częstotliwość takich wyobrażeń każe przypuszczać, że autor *Sanatorium pod Klepsydrą* wiązał ze sferą snu coś niesłychanie ważnego.

Stwierdzenie to wydać się może truizmem, jako że mało znalazłoby się w polskiej literaturze przykładów prozy uchodzącej za bardziej oniryczną niż Schulzowska. Nie zamierzam tu jednak zajmować się onirycznością Schulzowskiej poetyki. Interesuje mnie kwestia dużo bardziej konkretna, mianowicie pytanie, jakie obszary doświadczeń wiązał pisarz ze snem. Nie to, co mu się śniło, ani też nie to, co sądził o snach, lecz to, o czym w istocie opowiadał, ilekroć kazał swoim bohaterom „piąć się pracowicie na jakąś stromą górę chrapania” (s. 209). Mówiąc jeszcze inaczej: interesuje mnie Schulzowski fantazmat snu.

nauka Freuda
i Junga

Poglądy Schulza na temat snów zrekonstruować można dość łatwo. Uczynił to już dawno Jerzy Jarzębski, wskazując na wyraźne związki przekonań Schulza w tej dziedzinie z nauką Freuda i Junga. Pisarz posługiwał się przecież pojęciem „podświadomości” (zob. s. 245–253), nieobce mu też były koncepcje stłumienia, wyparcia czy cenzury³. Bodaj najbardziej po freudowsku brzmi zakończenie *Wiosny*, kiedy to na oświadczenie Józefa: „Nie odpowiadam za moje sny”, oficer feldjegrów odparowuje: „Owszem, odpowiada pan” (s. 203). Schulz dobrze wiedział, że sny nie są niewinne. Ma jednak rację Jarzębski, gdy twierdzi, iż „Schulz w widomy sposób bardziej niż Freudem fascynował się Jungiem i jego wersją psychologii głębi (choć dosłownych śladów tej fascynacji raczej

1 Tekst powstał w ramach projektu „Sennik polski. Literatura, wyobraźnia i pamięć”. Projekt został sfinansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji numer DEC-2011/01/B/HS2/04911. Pierwotna wersja tekstu została przedstawiona na konferencji „Schulz. Między mitem a filozofią”, zorganizowanej przez Instytut Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa, 25–27 czerwca 2012 roku.

2 B. Schulz, *Proza*, Kraków 1973, s. 277. Dalsze cytaty z dzieł Schulza pochodzą z tego wydania.

3 Zob. J. Jarzębski, *Schulz*, Wrocław 1999, s. 128–129.

brak)”⁴. Koronnym tego dowodem są słynne fragmenty *Wiosny* traktujące o schodzeniu do podziemi: „Gdy śpimy, odcięci od świata, daleko zabłąkani w głębokiej introwersji, w powrotnej wędrówce do siebie – [...] widzimy wyraźnie pod zamkniętymi powiekami, gdyż wtedy myśli zapalają się w nas wewnętrznym łuczyciem i tlą się majaczkliwe wzdłuż długich lontów, zanieczając się od węzła do węzła. Tak dokonuje się w nas regresja na całej linii, cofanie się w głąb, powrotna droga do korzeni” (s. 163).

Gdyby Jung miał pisarski talent Schulza, pisałby zapewne właśnie w ten sposób. Jednakże wiedza o tym, co autor *Sklepów cynamonowych* sądził o naturze snów, w nikłym jedynie stopniu przybliżyła nas do odpowiedzi na pytanie, jaką rolę sen odgrywał w jego wyobraźni. Podobnie jest z wiedzą o rzeczywistych snach pisarza. Na dobrą sprawę znamy tylko jeden jego sen – sen o obciętych penisie – opisany w liście do Stefana Szumana⁵ (oczywiście zakładając, że relacja ta nie została zmyślona). Jest jeszcze fragment w liście do Tadeusza Brezy, lecz nie dotyczy on żadnego konkretnego snu, zawiera jedynie wzmiankę o „jednym z tych snów, kiedy śnimy, że ktoś, kto już naprawdę dawno i niepowrotnie odjechał – powrócił i jest w naszym mieście, a my przez dziwną opieszałość, przez niezrozumiałe roztargnienie, jeszcze go wciąż nie odwiedziliśmy, choć jest to ktoś bliski i drogi”⁶. I to bodaj wszystko – mnie w każdym razie nie udało się trafić na ślady innych snów Schulza. Snowi o penisie poświęciłem w swoim czasie wiele uwagi, starając się pokazać, jak bardzo ten wczesny, dziecięcy sen zaważył na kształcie Schulzowskiej wyobraźni i jak – w sposób zamaskowany – nieustannie powracał w jego twórczości⁷. Teraz jednak chciałbym przejść drogę odwrotną – nie od konkretnego snu do prawideł wyobraźni, lecz od powracających regularnie wyobrażeń do znaczenia konkretnego fantazmatu.

rzeczywiste
sny Schulza

4 Ibidem, s. 126.

5 „Śni mi się, że jestem w lesie, noc, ciemno, odcinam sobie nożem penis, robię jamkę w ziemi i zakopuję go. To jest niejako antecedens, partia snu bez intonacji uczuciowej. Następuje właściwy sen: Opamiętuję się, uświadamiam sobie potworność, straszliwość grzechu popełnionego. Nie chcę wierzyć, że go naprawdę popełnił, i wciąż konstatuję z rozpaczą, że tak jest, że com uczynił, jest nieodwołalne. Jestem jak gdyby już poza czasem, w obliczu wieczności, która dla mnie nie będzie już niczym innym, jak straszną świadomością winy, uczuciem niepowetowanej straty przez całą wieczność. Jestem na wieki potępiony i wygląda to tak, że zamknięto mnie egzemplarycznie w szklanym słoju, z którego już nigdy nie wyjdę. Tego uczucia męki nieskończonej, wieczystości potępienia – nigdy nie zapomnę” (B. Schulz, *Księga listów*, zebrał i przygotował do druku J. Ficowski, Gdańsk 2002, s. 34–35).

6 Ibidem, s. 55.

7 Zob. W. Owczarski, *Miejsca wspólne, miejsca własne. O wyobraźni Leśmiana, Schulza i Kantora*, Gdańsk 2006, s. 102–148.

Włodzimierz Bolecki, autor hasła *Sen* w *Słowniku schulzowskim*, stwierdza, że „na poziomie narracyjnym «sen» to nazwa stanu lub sytuacji, która narratorowi opowiadań pozwala mówić o przekraczaniu granic normalności”⁸. Trudno temu zaprzeczyć, tyle że o „przekraczaniu granic normalności” pozwala narratorowi mówić niemal wszystko – cofnięty czas w sanatorium, nagłe a niespodziewane kurczenie się ciotki Perazji czy choćby wściekle bzyczenie much podczas „martwego sezonu”. *Sen* nie jest w tej materii niczym szczególnym. Schulz nie musi odwoływać się do snu, żeby w przestrzeni swoich utworów wykraczać poza „normalność”. W Schulzowskim świecie *sen* odgrywa rolę dużo ważniejszą i znacznie bardziej konkretną. Aby tę rolę pojąć, będziemy zmuszeni – wraz z Schulzem – wejść do łóżka i przekopać się przez monstrualne zwały pościeli.

„Łóżka cały dzień nie zaścielone, zawalone pościelą zmiętą i wytarzaną od ciężkich snów, stały jak głębokie łodzie gotowe do odpływu w mokre i zawile labirynty jakiejś czarnej, bezgwiazdnej Wenecji” (s. 57). Ten krótki fragment z *Manekinów* znakomicie określa charakter interesującego nas fantazmatu. Sny są „ciężkie”, pościel jest „zmięta i wytarzana”, a jednocześnie śpiący zdaje się nurzać w wodnym żywiole. Dynamikę Schulzowskiego wyobrażenia snu wyznaczają „ciężkość” i „odpływ”.

Jak już wspomniałem, śpiący bohaterowie Schulza zazwyczaj zmuszeni są do walki, a przynajmniej do zmagania się z oporem materii. Najdosłowniej mówi się o tym w *Martwym sezonie* – ojciec i Czarnobrody walczą tu ze sobą we śnie niczym biblijny Jakub z aniołem: „Na którymś kilometrze snu – czy nurt senny złączył ich ciała, czy sny ich nieopstrzeżenie zeszyły się w jedno? – uczuli w jakimś punkcie tej czarnej bezprzestrzeni, że leżąc sobie w objęciach, walczą ze sobą ciężkim bezprzytomnym zmaganiem. Dyszeli sobie w twarz wśród jałowych wysiłków. Czarnobrody leżał na ojcu jak Anioł na Jakubie. Ale ojciec ścisnął go ze wszystkich sił kolanami i odpływając drętwo w głuchą nieobecność, kradł jeszcze po kryjomu krótką posilną drzemkę między jedną rundą a drugą. Tak walczyli, o co? o imię? o Boga? o kontrakt? – zmagali się w śmiertelnym pocie, dobywając z siebie ostatniej siły, podczas gdy nurt snu unosił ich w coraz dalsze i dziwniejsze okolice nocy” (s. 235). Nieco podobnie w *Edziu*: „A ci, którzy w łóżkach swych pochwycili *sen*, już go nie puszczają i walczą z nim jak z aniołem, który się wyrывa, aż go zmoگا i przyduszą do pościeli i chrapią z nim na przemiany, jakby kłócili się i wypominali sobie gniewnie dzieje swej nienawiści” (s. 271).

śpiący
bohaterowie

8 W. Bolecki, *Sen*, [w:] *Słownik schulzowski*, pod red. W. Boleckiego, J. Jarzębskiego i S. Rośka, Gdańsk 2003, s. 346.

Najczęściej jednak – w braku anioła – śpiący zmagają się z pościelą bądź z własnym chrapaniem. Zmagania te są im najwyraźniej do czegoś potrzebne, skoro nie zamierzają „puścić” raz „pochwyconego” snu. „Jak któryś dorwał się snu, tak go trzyma kurczowo z żarliwą i bezprzytomną twarzą, podczas gdy oddech, wyprzedzając go daleko, błądzi samopas na odległych drogach” (s. 273). Czemu ma służyć to kurczowe wpijanie się w sen i w pierzynę? Czyżby celem było wywalczenie sobie błogosławieństwa na wzór biblijnego Jakuba? Schulz w opisach snu i spania z wyczuwalną satysfakcją bawi się przywoływaniem religijnych aluzji. Sen Doktora Gotarda to „wielkie patetyczne wniebowstąpienie na falach chrapania i wzdętej pościeli” (s. 253). Czyżby zatem uporczywe przepychanki z pierzyną bądź z poduszką miały się okazać drogą do nieba? Niekoniecznie. Wprawdzie w jednym z fragmentów *Wiosny* pojawia się niebo „ogromne jak pierzyna”, jest to jednak niebo „szare, duszne [...] wichrowato spiętrzone, bezforemnie ciężkie” – niebo, które „leżało ludziom na karku” (s. 157). Trudno raczej do takiego nieba dobijać się we śnie. A jednak śpiący bohaterowie Schulza z całą pewnością o coś zabiegają. Cóż zatem starają się uzyskać? O jaki rodzaj błogosławieństwa walczą?

uporczywe
przepychanki
z pierzyną

Kluczem do odpowiedzi na to pytanie wydaje się fakt, że w zdecydowanej większości wypadków Schulzowskie wyobrażenia snu zanurzone są w odmętach brudu, odpadów, wydzielin i wszelkiej obrzydliwości. Pościel jest zazwyczaj brudna i od dawna niezmieniana. Śpiący pocą się obficie i mają rozchylone usta, z których nierzadko cieknie ślina. Naprzykrzają im się muchy („Subiekci, trapieni przez muchy, drgali, pełni grymasów, rzucając się w niespokojnym śnie letnim” – s. 227). Nawet nieskazitelne ciało Adeli we śnie traci powab i narażone jest na inwazję nocnych intruzów: „Adela kładzie się bez światła do łóżka w zmiętą i wytarzaną z poprzedniej nocy pościel [...]. Śpi głęboko, jej usta są rozchylone, twarz wydłużona i nieobecna [...]. Adela jest [...] bezwładna, całkiem oddana głębokiemu rytmowi snu, który przez nią przepływa. Nie ma sił nawet, by wciągnąć kołdrę na obnażone uda, i nie może nic poradzić, że przez ciało jej wędrują pluskwy, szeregi i kolumny pluskwiew. Te lekkie i cienkie listki-kadłuby biegną przez nią tak delikatnie, że nie czuje najmniejszego muśnięcia. Są to płaskie torebki na krew, rude mieszki na krew, bez oczu i bez fizjonomii, i teraz maszerują całymi klanami, wielka wędrowka ludów podzielona na pokolenia i na rody. Biegną od nóg krociami, niezliczoną promenadą, coraz większe, tak wielkie jak ćmy, jak płaskie pugilaresy, jak wielkie czerwone wampiry bez głowy, lekkie i papierowe na nóżkach subtelniejszych od pajęczyny” (s. 270–272).

Adela
i pluskwy

Schulz ewidentnie upaja się hiperbolizowaniem tych pasożytów. Ale zartobliwość opisu dowodzi tym większej wagi sennych fantazmatów.

sen jako
domena
wstrętu

Jak twierdzi Julia Kristeva, „śmiejch to sposób na umieszczenie lub przemieszczenie wstrętu”⁹. A sen jest dla Schulza właśnie domeną wstrętu. Bohaterowie jego prozy, wkraczając w sferę snu, nurzają się w nieczystościach, narażając na szwank własną tożsamość, lecz jednocześnie zyskują szansę na konsolidujące oczyszczenie.

Przyjrzyjmy się sytuacji wuja Karola, który pod nieobecność żony oddawał się rozpuście i powracał do niesprzątanego mieszkania jedynie na kilka godzin snu. Wówczas – jak czytamy – „zmięta, chłodna, dziko rozrzucona pościel była dlań [...] jakąś błogą przystanią, wyspą zbawczą, do której przypadał ostatkiem sił jak rozbitek, miotany wiele dni i nocy przez wzburzone morze. Omackiem, w ciemności zapadał się gdzieś między białawe chmury, pasma i zwały chłodnego pierza i spał tak w niewiadomym kierunku, na wspak, głową na dół, wbity ciemniem w puszysty miąższ pościeli, jak gdyby chciał we śnie przewiercić, przewędrować na wskroś te rosnące nocą, potężne masywy pierzyn. Walczył we śnie z tą pościelą, jak pływak z wodą, ugniatał ją i miesił ciałem, jak ogromną dzieżę ciasta, w którą się zapadał, i budził się o szarym świcie zdyszany, obłany potem, wyrzucony na brzeg tego stosu pościeli, którego zmóc nie mógł w ciężkich zapasach nocnych. Tak na wpół wyrzucony z toni snu, wisiał przez chwilę nieprzytomny na krawędzi nocy, chwytając piersiami powietrze, a pościel rosła dokoła niego, puchła i nakisała – i zarastała go znowu zwałem ciężkiego, białawego ciasta” (s. 79).

spoczone ciało
rozpuścownika

Spocone ciało rozpuścownika lgnie do „nakisłej” pościeli, która raz obmywa jak woda, to znów oblepia jak ciasto. Pragnąc „przewiercić, przewędrować na wskroś [...] potężne masywy pierzyn”, wuj zdaje się liczyć na to, że się w tych pierzynach zatraci, ale jednocześnie – że się o nie wytrze, zetrze z siebie jakąś brudną, lepłą powłokę. Być może w ogóle Schulzowscy bohaterowie właśnie po to tak zapamiętałe tarzają się w nieświeżej pościeli, by – uwalwszy się w błocie i wszelkim plugastwie – ostatecznie się od niego uwolnić? Co by to jednak miało oznaczać? I dlaczego dokonuje się we śnie?

Kristeva dowodzi, że „brud nie jest jakością samą w sobie, lecz odnosi się wyłącznie do tego, co ma związek z g r a n i c ą, zwłaszcza zaś przedstawia przedmiot upadły z tej granicy, drugą jej stronę, margines”¹⁰. Bohaterowie Schulza „na marginesach rzeczywistości” przebywają permanentnie, co dawno już udowodnił Krzysztof Stala¹¹. Jednak sen jest

9 J. Kristeva, *Potęga obrzydzenia. Esej o wstręcie*, przeł. M. Falski, Kraków 2007, s. 13.

10 Ibidem, s. 68.

11 Zob. K. Stala, *Na marginesach rzeczywistości. O paradoksach przedstawiania w twórczości Brunona Schulza*, Warszawa 1995.

obszarem szczególnie sprzyjającym pograniczności. Nurzanie się w brudzie i zatapanie się we śnie to doświadczenia paralelne, związane z naruszeniem granicy między podmiotem a przedmiotem. Wymioty, podobnie jak sen, wytrąca z ustalonych reguł gry i, jak pisze Kristeva, „kieruje «ja» ku «nie-ja»”¹². Schulzowski podmiot we śnie przekształca się w „formy graniczne, wątpliwe i problematyczne, jak ektoplazma somnambulików, pseudomateria, emanacja kataleptyczna mózgu, która w pewnych wypadkach rozrastała się z ust śpiącego na cały stół, napełniała cały pokój, jako bujająca, rzadka tkanka, astralne ciało, na pograniczu ciała i ducha” (s. 70). Rozchylone, ociekające śliną usta we śnie umożliwiają wydobywanie się owej tkanki czy ektoplazmy, sam śpiący zaś ztraca tożsamościową spoiłość. Ztraca ją do tego stopnia, że w opisach Schulza próżno by szukać rozróżnień pomiędzy spaniem a snieniem. Marzenie sennie stapia się tu w jedno z fizjologicznym procesem spania. Oto w *Komecie* ojciec dostrzega „kontury embriona [...] śpiącego na opak swój sen błogi w jasnej wodzie amnionu” (s. 324). Sen może być zatem spany, niekoniecznie śniony. W zakończeniu *Jesieni* czytamy: „Ogromne, głębokie łóżka czekały, pełne spiętrzonej, chłodnej pościeli, na nasze ciała. Śluzę nocy skrzypiały już pod naporem ciemnych mas snu, gęstej lawy, która gotowała się wyłamać, wylać z stawideł, z drzwi, z szaf starych, z pieców, w których powzdychiwał wiatr” (s. 302). Czym jest ta lawa – wytworem fizjologii czy marzenia? Schulz nie ma zamiaru tego rozstrzygać, jego wyobrażenia konsekwentnie zaciera granice już nie tylko między podmiotem a przedmiotem we śnie, lecz także między podmiotem śpiącym a podmiotem śniącym. Sennie rozproszenie podmiotu doskonale widoczne jest w wyznaniu Józefa z *Sanatorium pod Klepsydrą*: „Śpię tak przez całe nieregularne przestrzenie czasu, dni czy tygodnie, podróżując przez puste krajobrazy snu, ciągle w drodze, ciągle na stromych gościńcach respiracji, raz zjeżdżając lekko i elastycznie z łagodnych pochyłości, to znów pnąc się z trudem na prostopadłą ścianę chrapania. Dosięgnięszy szczytu, obejmuję ogromne widnokreśli tej skalistej i głuchej pustyni snu. O jakiejś porze, w niewiadomym punkcie, gdzieś na raptownym skręcie chrapania budzę się na wpół przytomny i czuję w nogach ciało ojca. [...] Zasypiam znowu z otwartymi ustami i cała ogromna panorama górzystego krajobrazu przesuwa się mimo mnie falisto i majestatycznie” (s. 251).

„Puste krajobrazy snu” czy „skalistą i głuchą pustynię” można by rozumieć jako treści marzenia sennego, ale „gościńce respiracji” i „prostopadła ściana chrapania” wskazują, że wszystkie te metafory równie do-

usta we śnie

sennie rozproszenie podmiotu

brze dotyczyć mogą przypadłości uśpionego ciała. Nie dowiemy się, czy Józef śni o wspinaczce, czy zmaga się z własnym oddechem. W Schulzowskiej wizji snu te dwie możliwości niczym się od siebie nie różnią.

Zanurzenie się w sennym żywiole, w tej rozmywającej tożsamość lawie, w skalanej brudem wydzielinie czy ektoplazmie – ma ostatecznie na celu oczyszczenie i ponowną konsolidację. Dynamika procesów sennych – „gonitwa po wszystkich piętrach” (s. 270), wznoszenie się i opadanie, „pracowity galop chrapania” (s. 235), szamotanina z pościelą – prowadzić ma do oddzielenia od „ja” tego, co zbędne i niechciane, do pozbycia się uciążliwego nadmiaru. Oto wuj Karol, gdy już „przewiercił się” przez „masywy pierzyn”, uspokajał się i „powracał powoli do siebie, do dnia, do jawy” (s. 79). Ów powrót możliwy był dzięki uwolnieniu się od ciężącego mu balastu. Ostatni akt tego uwolnienia dokonywał się już po przebudzeniu: „Pan Karol wyziewał ze swego ciała, z głębi jam cielesnych, resztki dnia wczorajszego. To ziewanie chwytalo go tak konwulsyjnie, jak gdyby chciało go odwrócić na nice. Tak wyrzucał z siebie ten piasek, te ciężary – nie strawione restancje dnia wczorajszego” (s. 80).

Ziewanie okazuje się ostatecznym oczyszczeniem. Pozbywając się „ciężarów”, śniący ponownie staje się podmiotem, tyle że jest już „odwrócony na nice”, przemieniony, na nowo ukonstytuowany. W efekcie snu zwieńczonego konwulsyjnym ziewaniem pozbył się „resztek dnia”. Jak wiadomo, Freud określał tym terminem świeże przeżycia składające się na materiał marzenia sennego. Przeżycia te, zdaniem Freuda, mogą być całkiem błahe, ale mogą też bardzo zaprzętać świadomą uwagę¹³. Zawsze jednak stanowią jedynie przebranie dla życzenia płynącego z nieświadomości. W Schulzowskiej wizji snu owe „niestrawione restancje dnia wczorajszego” zdają się czymś znacznie istotniejszym. To właśnie z ich powodu dochodzi do wszystkich tych dramatycznych „sennych awantur”. Zadaniem snu jest bowiem trawienie i wydalanie, konsekwentna utylizacja wszelkich wspomnień, przeżyć, wyobrażeń, emocji, reakcji czy zachowań, które mogłyby zakłócać wizerunek „ja”. Śniący wypróżnia się z „resztek” niepasujących do całości, którą pragnie się stać. Wydala je w postaci wydzielin i wyziewów. Czasem także wytrzępuje je z pościeli jak Zosia w *Emerycie*, która „ziewa długo i przeży się przeciągle, zanim otworzy okno do sprzątnia, naspane obficie, nachrapane po-

sen trawi
i wydala

13 „Nie ulega wątpliwości, że [resztki dnia] obficie przenikają do snu, że wykorzystują treść senną, by i nocą narzucić się świadomości; ba, niekiedy dominują w treści sennej, zmuszają ją do kontynuowania pracy dziennej” (S. Freud, *Dzieła*, t. I: *Objaśnianie marzeń sennych*, przeł. R. Reszke, Warszawa 1996, s. 468).

wietrze nocy leniwie wędruje do okna [...]. Dziewczyna zanurza ręce ociągłiwie w ciasto pościeli, ciepłe jeszcze, nakisłe od snu. Wreszcie z dreszczem wewnętrznym, z oczyma pełnymi nocy wytrząsa przez okno wielką, obfitą pierzynę i lecą na miasto puszkę pierza, gwiazdki puchu, leniwy wysiew rojeń nocnych” (s. 277). W *Nawiedzeniu* jesteśmy świadkami tego, jak subiekci „wywijali się leniwie z brudnej pościeli” i „oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania – ziewania przeciągniętego aż do lubieżności, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy tęgich wymiotach” (s. 47). Ten wy-miot może dawać rozkosz, gdyż jest zwiastunem odrodzenia. Kristeva określa wstręt jako „owo nic, które wywraca mnie jak rękawiczkę, gdy kiszki się przewracają: [...] «ja» jestem w trakcie stawania się kimś innym za cenę własnej śmierci. Na tej drodze, gdzie «ja» staje się, rodzę siebie wśród gwałtownych spazmów, wymiotów”¹⁴.

wy-miot, który daje rozkosz

Pośród niezliczonych opozycyjnych wobec Freuda teorii na temat funkcji marzenia sennego jedna wydaje się szczególnie bliska wizji Schulza. Jej autorzy, Francis Crick i Graeme Mitchison, przekonują, że zadaniem marzeń sennych jest oczyszczanie mózgu z niepotrzebnych wspomnień. Ściśle mówiąc: funkcją snu jest „usunięcie pewnych niepożądanych modeli interakcji w połączeniach komórek kory mózgowej. Twierdzą – piszą naukowcy – że dokonuje się to w fazie REM dzięki mechanizmowi oduczania, żeby ślad nieświadomego snu w mózgu został osłabiony, a nie wzmocniony przez ten sen”¹⁵. Z teorii tej wynika, że wszystko to, co nam się śni, jest przeznaczone do wymazania z pamięci – i w akcie śnienia skutecznie wymazywane. „Śnimy po to, żeby zapomnieć”¹⁶ – utrzymują Crick i Mitchison. W przeciwnym razie mózg byłby przeładowany i działałby wadliwie. Konsekwencją takiego stanu rzeczy jest całkowita nieprzydatność, a wręcz szkodliwość wszelkich prób interpretacji czy choćby tylko zapamiętywania snów. Starając się zapamiętać to, o czym powinniśmy zapomnieć, narażamy się, zdaniem autorów, na poważne zaburzenia psychiczne.

szkodliwość interpretacji

Nie trzeba chyba dodawać, że koncepcja ta uznana została za kontrowersyjną i wywołała – do dziś wywołuje – falę zdecydowanej krytyki. Nie zamierzam tu jednak, rzecz jasna, wypowiadać się o wiarygodności tej teorii. Niespecjalnie też obchodzi mnie to, że Schulz nie mógł

¹⁴ J. Kristeva, op. cit., s. 9.

¹⁵ F. Crick and G. Mitchison, *The function of dream sleep*, „Nature” 1983, vol. 304, s. 111. W oryginale: „[...] to remove certain undesirable modes of interaction in networks of cells in the cerebral cortex. We postulate that this is done in REM sleep by a reverse learning mechanism, so that the trace in the brain of the unconscious dream is weakened, rather than strengthened by the dream”.

¹⁶ Ibidem.

o niej usłyszeć, gdyż została ogłoszona w roku 1983. Znacznie ważniejsze jest to, że idea snu jako procesu oczyszczania wspomnień czy przeżyć okazała się na tyle atrakcyjna, że mogła zrodzić się w głowach racjonalnie myślących, wybitnych przedstawicieli nauk eksperymentalnych (w końcu Crick jest laureatem Nagrody Nobla za odkrycia w dziedzinie funkcjonowania DNA). Jednocześnie zaś, o czym przekonuje Paul Martin, „«oduczeniowa» teoria snu REM to echo znacznie starszego nurtu myślenia, który uznawał sny za odpady produkowane przez umysł”¹⁷. Martin ilustruje tę tezę cytatem z siedemnastowiecznego dramaturga Thomasa Nashe’a: „Sen to nic innego jak tylko spieniony szlam albo szumowiny fantazji, które dzień pozostawił nieprzetrawionymi, albo resztki złożone z fragmentów jałowych wyobrażeń”¹⁸. W takim towarzystwie Schulz powinien chyba czuć się dobrze, zyskując dla swej wizji snu solidny fundament na gruncie historii idei oraz wsparcie naukowego autorytetu późnych wnuków.

Wróćmy raz jeszcze do wuja Karola i zobaczymy, co się z nim działo po przebudzeniu. Gdy ostatecznie wydalil niestrawione „resztki”, wuj, „ulżywszy sobie w ten sposób, i swobodniejszy, [...] kalkulował, obliczał i marzył” (s. 80). Przemieniony i skonsolidowany ponownie podmiot zwraca się ku przyszłości, spogląda śmiało wprzód, buduje swą tożsamość na tym, co przed nim, a nie za nim. Wszak „zdawał się teraz z wolna dojrzewać w tej ciszy jego przyszły los” (s. 80). I mimo że „znękanie od nadużyć płciowych” ciało wuja Karola „nabrzmięwało tłuszczem”, mimo że on sam „siedział w bezmyślnym, wegetatywnym osłupieniu”, a jego „nie sformułowana przyszłość” była jak „potworna narośl, wyrastająca fantastycznie w nieznaną dymensję”, to przecież „nie przerażał się jej, gdyż czuł już swoją tożsamość z tym niewiadomym a ogromnym, które miało nadejść, i rósł razem z nim bez sprzeciwu, w dziwnej zgodzie” (s. 80). Trudno oprzeć się wrażeniu, że to właśnie przeczyszczające działanie snu pozwoliło na tę, niełatwą w końcu, samoakceptację. Gdy bowiem w *Nocy lipcowej* obserwujemy wuja Karola przed zaśnięciem, zachowuje się on zgoła inaczej. Widzimy, jak „rozbierał się do naga i leżał długo bezsenny na chłodnym łóżku. Nie od razu zstępował nań niespokojny półsen, obezwładniający stopniowo jego wielkie ciało. Jeszcze mrucał coś, sapał, wzdychał ciężko, szamotał się z jakimś ciężarem, który przywalał mu piersi. Bywało czasem, że wybuchał nagle cichym, suchym szlochem” (s. 209).

Sen w Schulzowskim świecie pozwala uporać się z nadmiarem przeżyć i wrażeń. Ci, którzy przeżyć mają za mało, w ogóle nie śpią. To

wróćmy do
wuja Karola

17 P. Martin, *Liczenie baranów. O naturze i przyjemnościach snu*, przeł. A. Gralak, Warszawa 2011, s. 343–344.

18 Ibidem, s. 344.

przypadek Doda: „Dodo nie umiał spać. Ośrodek snu w jego chorym mózgu nie funkcjonował prawidłowo. Kręcił się, tarzał w pościeli, przewracał się z boku na bok. [...] Nie żyte życie męczyło się, dręczyło w rozpacz, kręciło się jak kot w klatce. W ciele Doda, w tym ciele półgłówka, ktoś starzał się bez przeżyć, ktoś dojrzywał do śmierci bez okruszyny treści” (s. 266). „Nie żyte życie” to dla Schulza jedno z najbardziej przerażających wyobrażeń. Niedługo po zerwaniu z Józefiną Szelińską pisarz wyznawał w liście do Romany Halpern: „Wiosna taka piękna – należałoby żyć i połykać świat. A ja spędzam dni i noce bez kobiety i bez Muzy i marnieję bezpłodnie. Tu kiedyś zerwałem się ze snu z nagłą głęboką rozpaczą, że życie ulatuje, a ja nie zatrzymuję nic z niego. Gdyby taka rozpacz trwała długo, można by oszaleć. [...] to jest największe nieszczęście – nie wyżyć życia”¹⁹. Na to nieszczęście, dodajmy, nie pomaga nawet sen.

„nie żyte życie”

W sytuacjach odwrotnych, kiedy niejako nadmiar życia (również życia wewnętrznego!) wywołuje niepokój czy nawet tożsamościową niejasność, sen, jak widzieliśmy, działa zbawiennie. Potwierdzenie tego, co udało nam się wywnioskować na temat Schulzowskiego fantazmatu snu, znaleźć można w innym liście pisarza do Romany Halpern: „Jeżeli chcę sobie zdać sprawę z mego obecnego stanu, narzuca mi się obraz obudzonego ze snu głębokiego. Ktoś budzi się do jawy, jeszcze widzi zanurzający się w zapomnienie świat snów, jeszcze ma w oczach jego zmierzchające kolory i pod powiekami czuje miękkość marzenia – a już napiera nań nowy, trzeźwy i rzeński świat jawy i pełen jeszcze wewnętrznego lenistwa daje się wciągnąć – ociągając się – w jego sprawy i procesy. Tak we mnie moja osobliwość, moja wyjątkowość, nie rozwiązując się, pograża się jakby w zapomnienie. Ona, która mnie zamykała przed atakami świata, odsuwa się łagodnie w głąb, a ja, jakby wypuszczony z poczwarki owad, wystawiony na burzę obcego światła i wiatry nieba, powierzam się jakby po raz pierwszy żywiołom”²⁰.

Istotą opisanej tu przez Schulza przemiany jest zapomnienie. W zapomnienie zanurza się świat snów, a wraz z nim „moja osobliwość” i „wyjątkowość”, czyli to, co wyznaczało dotąd tożsamość. Dopiero pozbycie się tej „poczwarki” umożliwia rozwój i odwagę powierzenia się „żywiołom”. Sen oczyszcza, pozwala zapomnieć, unieważnić, „nie rozwiązując”, i w ten sposób stwarza fundament dla przepoczwarczenia się podmiotu. A skoro jest właśnie tak, skoro zadaniem snu ma być oczyszczanie pamięci, to staje się zrozumiałe, dlaczego Schulz tak rzadko rela-

¹⁹ B. Schulz, *Księga listów...*, s. 162–163.

²⁰ Ibidem, s. 144.

pisać sny

cjonował sny zarówno swoje, jak i swoich bohaterów. Jarzębski tłumaczy to Schulzowskim pragnieniem przywołania mitu dzieciństwa. „Chociaż, czytając *Sklepy [cynamonowe]* – pisze badacz – od razu czujemy wizyjny i oniryczny charakter opowieści, nigdy nie padają słowa w rodzaju: «Śniło mi się, że...». W istocie bowiem pisarza sny postaci literackich wcale nie interesują. By wejść w krainę dzieciństwa, musiał on natomiast całą swą twórczość ukształtować na podobieństwo snu. [...] Udało mu się n a p i s a ć s e n (nie – «zapisać!»), wielowarstwowość sennego podmiotu imitując środkami literackimi”²¹. Wszystko to prawda. Schulz istotnie cały swój literacki świat kształtował na modłę oniryczną, nie musiał zatem eksponować konkretnych marzeń sennych. Być może jednak powodem, dla którego nie opisywał snów – i dla którego zacierał różnice między śnieniem a spaniem – było przeświadczenie, że zgodnie z twierdzeniem Cricka i Mitchisona, „śnimy po to, żeby zapomnieć”? Wówczas relacjonowanie snu byłoby przecież sprzeczne z jego głównym celem.

21 J. Jarzębski, *Sen o „złotym wieku”*, „Teksty” 1973, nr 2, s. 120–121.